



herb Bończa

Poczet kresowych zagończyków

Stefan Chmielecki

to nie tylko kolejny z grona wspaniałych kresowych zagończyków, ale i jeden z najlepszych w polskich dziejach kresowych mężów wojsko w bój wodzących. Wypracował indywidualną strategię walki z szybkimi i ostrożnymi Tatarami, stosując ich własne metody. Dzięki swym zdolnościom zrobił oszałamiającą jak na owe czasy karierę – ze szlacheckiego chudopachołka awansował na oficera, pułkownika, samodzielnego dowódcę, a wreszcie regimentarza wszystkich broniących kresów wojsk. Jak żaden wódz przed nim, wyrastał w ubogim szlacheckim domu i dlatego tak dobrze rozumiał zagrożoną przez Tatarów *gołotę*, mieszczan i chłopów, których los autentycznie go obchodził, a krzywda bolała. Z czasem wyrósł na kresowego *męża opatrnościowego*, potrafiącego jak nikt inny poskramiać przebiegłą ordę. Już za życia opowiadano o nim legendy i śpiewano pieśni, pisano, że *męstwem swoim i sławą nazwiska napelnił całe królestwo*.

Sytuacja na Ukrainie na przełomie XVI i XVII wieku *unormowała się* w taki sposób, iż już nie tylko na Dzikich Polach, ale na całych wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej Obojga Narodów zapanowały najdziksze obyczaje. Im dalej na południowy-wschód, tym tereny były coraz słabiej zaludnione, a co próbowano je zasiedlić, to znów się wyludniały, bowiem oprócz trudności codziennej egzystencji na tych dziewiczych, choć żyznych ziemiach, dochodziło ciągle zagrożenie tatarskimi najazdami, powtarzanymi już z niemal coroczną regularnością. Ordyńcy ruszali we wcześniej obranym kierunku, zakładali kosz (obóz) i rozpuszczali czambuły po okolicy. Tym sposobem łupione i wyludniane były ogromne połacie ziem koronnych. Polskie siły liczące góra kilka tysięcy żołnierzy, mające chronić

granicę mierzącą 1500 km nie dawały sobie rady z niedościgłym przeciwnikiem. Trzeba było znaleźć na niego sposób i wreszcie pojawił się ktoś, kto to potrafił.

Jednym z pierwszych polskich dowódców, skutecznie i kompleksowo radzącym sobie z Tatarami był Stefan Chmielecki.

Sławny w przyszłości zagończyk przyszedł na świat ok. roku 1580 w rodzinie Jana Chmieleckiego, ubogiego szlachetki herbu Bończa. Sprawował on zapewne gdzieś na Wołyniu urząd wójta i wieszal się u pańskiej kłamki kniaziów Ostrogskich. Jedną z nielicznych dróg awansu społecznego dla ambitnych i nieznających lęku synów ubogiej szlachty było zaciągnięcie się w szeregi wojska. Tak też uczynił młody Chmielecki. Trzeba przyznać, że na dowodzących wybierał sobie osoby nie lada jakie, od których rzemiosła wojennego można się było wyuczyć, jak od mało kogo.

Z hetmanem Stanisławem Żółkiewskim wyruszył w 1609 roku na wyprawę przeciwko Rosji, skutkującą spektakularnym zwycięstwem pod Kłuszynem i pierwszym zdobyciem Moskwy przez europejskie wojska. Gdy słynącego z prawości wodza nie było już na Kremlu, źle się zaczęło dziać w rosyjskiej stolicy, w efekcie niezadowoleni żołnierze powołali pierwszą w historii konfederację domagającą się wypłaty zaległego żołdu, której marszałkiem został porucznik Józef Ciekliński. Chmielecki musiał się cieszyć szacunkiem kompanionów, bowiem wysłano go jako konfederackiego posła na sejm do Warszawy (1612). Efekt był więcej niż zadowalający, bo skarb zmuszony był wypłacić żołnierzom ogromną sumę 5 mln zł.

Później zaciągał się na służbę u kniaziów Ostrogskich i Koreckich. Wspomagał też hrabiego Jerzego Drugetha de Hommonaya w jego zmaganiach z wojskami księcia siedmiogrodzkiego Gabora Bethlena, oblegającego habsburski Wiedeń. Polskie oddziały, które wkroczyły w granice węgierskie za cichym pozwoleniem króla Zygmunta III, doprowadziły do pierwszej, nieco zapomnianej odsieczy wiedeńskiej (1619). Nie wiemy czy Chmielecki znalazł się w szeregach sławnych lisowczyków, ale z całą pewnością mógł obserwować działania tej nadzwyczajnej formacji. A przypominały one nad wyraz poczynania Tatarów. Lisowczycy, o których mawiano, że *Bóg o nich zapomniał, a diabeł się bał*, stanowili skrajnie niebezpieczną formację lekkiej jazdy; byli najemnikami nie pobierającymi żołdu, żyli tylko z łupów, imponowali wyszkoleniem jeździeckim i bojowym, dosiadali konia *po tatarsku*, stojąc w strzemionach, co nie obciążało rumaka i ułatwiało władanie bronią, poruszali się komunikiem (bez taborów), co sprawiało iż przemieszczali się z niesamowitą prędkością, demokratycznie wybierali dowódców, stosowali zasady niczym

w Legii Cudzoziemskiej – *maszeruj, albo giń*, słynęli z bezkompromisowości i okrucieństwa. Obserwując metody późniejszych samodzielnych poczynań Chmieleckiego, bez trudu dostrzeżemy analogie. Tymczasem szybko piął się on w wojskowej hierarchii, co w przypadku skromnego szlachetki było bardzo nietypowe. Z pewnością zawdzięczał to swemu talentowi i nabytym wojskowym umiejętnościom.

Gdy w 1620 roku wyruszył z hetmanem Żółkiewskim pod Cecorę, dowodził już 800-osobowym zastępem Kozaków zaporoskich. Dziwna to była wyprawa. Wbrew popularnej legendzie Żółkiewski bitwy tam stoczonej nie przegrał, ani w niej nie zginął. Polskie wojska wyruszyły z pomocą gospodarowi mołdawskiemu Kacprowi Grazzianemu, chcącemu zrzucić jarzmo tureckie. Stary wódz stanął za wałami dawnego obozu kanclerza Zamoyskiego, umacniał je i spokojnie czekał na wojska nieprzyjaciela. Turcy prowadzeni przez Iskandera paszę wraz z Tatarami i Wołochami pojawili się niespodziewanie w znacznie większej liczbie niż przewidywano. Obozujący za wałami lisowczycy wytrzymali nagły atak, wsparci przez hetmana kilkoma chorągwiami. W niewolę popadły za to gromady wysłanych po zaopatrzenie ciurów. Wódz postanowił wydać bitwę następnego dnia. Uszykowane wojska wyszły za wały z ruchomą osłoną z wozów taborowych. Niestety wojska koronne i prywatne nie współdziałały należycie, nastąpiło zamieszanie, po którym wycofano się do obozu. Starcie było nierozstrzygnięte, przy czym przeciwnik stracił znacznie więcej ludzi. W nocy za sprawą przestraszonego Grazzianiego i niektórych polskich dowódców, głównie prywatnych hufców, wybuchła panika, zaczęły się rabunki, część żołnierzy rzuciła się w nurty Prutu – wielu utonęło, inni padli ofiarą Tatarów i Wołochów. Na szczęście Turcy uznali zamieszanie w obozie za podstęp i nie uderzyli całą siłą. Okazję wykorzystał Chmielecki – przeprowił się wraz z rotmistrzem Janem Odrzywolskim oraz swoimi Kozakami przez rzekę i umknął. Taki postępek chwały mu nie przyniósł, choć przyznać trzeba, że potrafił wyprowadzić większość swoich podkomendnych z obcego, pełnego nieprzyjaciół terytorium. Żółkiewski, zbyt dumny by prosić o lojalność niesubordynowanych magnatów, z kniazem Samuelem Koreckim na czele, nakazał odwrót. Wojska wyszły zza wałów w obronny taborze; ruchomej twierdzy ze związanych łańcuchami wozów, wewnątrz której przemieszczali się ludzie i konie. Atakowany tabor zionął ogniem z działek i ręcznej broni palnej. I tak przeszli 200 km! Wobec nieskuteczności szturmów Turcy odstąpili, tylko nieustępliwy Kantymir murza, zwany *Krwawym mieczem*, czaił się w pobliżu z budziackimi ordyńcami. Gdy byli już nad granicznym Dniestrem rozeszła się wieść, iż rabusie obozowi spod Cecory zostaną ukarani. Rozerwano tabor i każdy zaczął uciekać na własną rękę. Tatarzy tylko na to czekali. Tam to,

nieopodal Mohylowa zginął śmiercią bohatera, z szablą w ręku, 73-letni hetman wielki koronny i wielki kanclerz Stanisław Żółkiewski.

W 1621 r. zaciągnął się Chmielecki w szeregi prywatnych wojsk wojewody kijowskiego Tomasza Zamoyskiego. Miał za zadanie strzec przed Tatarami dóbr Zamoyskich i Ostrogskich, a w zamian otrzymał w dzierżawę majątki Krasne i Nowy Międzybórz.

Sytuacja Rzeczypospolitej była nie do pozazdroszczenia – wojska w rozsypce, wodzów brak (hetman wielki poległ, a polny St. Koniecpolski pozostawał w niewoli), korzystający z okazji ordyńcy atakowali bez pardonu, do najazdu szykowało się Imperium Otomańskie. Z konieczności wezwano w sukurs hetmana litewskiego Jana Karola Chodkiewicza. Hetmanowi nie zbywało na wojskowym geniuszu, lecz na żołnierzach owszem. Z tym co zdołał zebrać zamknął się w nadgranicznej twierdzy Chocim i tam starał się powstrzymać Turków. W trakcie oblężenia hetman zmarł, a dowództwo objął regimentarz Stanisław Lubomirski. Nie miał talentu swego poprzednika, ale wystarczająco dużo mądrości by nie zepsuć tego, co poukładał Chodkiewicz, a że na dyplomacji się znał, doprowadził do zawarcia pokoju ponoć w chwili, gdy oblężonym pozostała w zapasie... jedna beczułka prochu!

Chmielecki pragnący zmazać hańbę spod Cecory, szedł w sukurs załodze Chocimia, lecz mając nakazane pilnowanie spokoju przemarszu Kozaków Jacka Borodawki, z rozkazu króla idących na Mołdawię, aby opóźnić pochód Turków, oraz tocząc potyczki z Tatarami, nie zdążył. Niemniej jego umiejętności i możliwości stale rosły.

W 1624 r. z nakazu dyszącego chęcią odwetu po uwolnieniu (za cenę 30 000 talarów) z ponad dwuletniej niewoli Koniecpolskiego, wyrusza spod Skały z siedmioma chorągwiami (w tym czterema kozackimi hetmana) naprzeciw Isztemira, syna Kantymira murzy. Hetman pchnął podjazd złożony z kilkudziesięciu kozaków, dla schwytania języka, a Tatarzy wzięli ich w łyka. 7 lutego 1624 r. między spalonymi wioskami Łosiacz a Dawidowce Chmielecki zoczył Tatarów i bez zastanowienia runął na nich z trzydziestoma towarzyszymi u boku, czyniąc spore spustoszenie, zanim nadeszła reszta z jego 500 jeźdźców. W starciu został ciężko postrzelony w prawy bok, oddał komendę staremu kompanionowi i zastępcy Janowi Dzikowi, lecz mężnie nie zszedł z pola – w efekcie rozbito półtoratysięczny czambuł, poległo ponad dwustu Tatarów (wśród nich Isztemir), kilkunastu wzięto żywcem. Zaraz po zwycięstwie pan Stefan odesłał Koniecpolskiemu jego uwolnionych z jasyru kozaków.

Dwa dni później, pod Szmańkowcami hetman dopadł uchodzący z łupami kosz i srodze ordyńców pogromił, uwalniając ogromną ilość bydła i jeńców. Niestety drugi kosz, prowadzony przez Alego murzę, umknął spod Jazłowca na Mołdawię.

W czerwcu ledwo podleczoney rotmistrz znów walczył. Trzeba bowiem było odpierać 15-tysięczny najazd Kantymira, nowo mianowanego przez Turków bejlerbejem białogrodzkim, czyli zarządcą prowincji. Zuchwały murza napisał do króla, grożąc że zatknie sultańską chorągiew pod Warszawą. Skradał się wzdłuż Dniestru, lecz dostrzegła go chorągiew kwarciana strażnika koronnego Jana Odrzywolskiego, świetnego zagończyka i przyjaciela Chmieleckiego. Od tej chwili śledzono ruchy nieprzyjaciela i ostrzegano ludność, by mogła schronić się w lasach. Murza rozłożył kosz aż koło Medyki, a zagony dochodziły do Rzeszowa i Krosna, na ziemię w łupy obfite, bo znacznie mniej dotąd pustoszone. Hetman przygotował zasadzkę w miejscu przeprawy przez Dniestr, ale doświadczony Kantymir wyczuł podstęp. Chmielecki dowodził lekką jazdą prawego skrzydła. Odcinając Tatarom drogę od brodu, zmusił murzę do przyjęcia bitwy pod Martynowem. Ten zmagał się z Kozakami i sprawnie manewrując wokół polskiego taboru pragnął powstrzymać Polaków, aż kosz ujdzie z łupami na Mołdawię. Koniecpolski zakazał używania broni palnej, wyczekując właściwego momentu; cięto się z bliska szablami, nawet husarze odłożyli swe kopie. Wreszcie padły salwy z rusznic i pistoletów, a rażeni ogniem Tatarzy poszli w rozsypkę. Wielu skakało do rzeki, w której jak wspominają świadkowie, polowano na nich jak na kaczki, strzelając i szyjąc z łuków.

Chmielecki przeszedł przez rzekę i po rozprawieniu się z budziackimi ordyńcami ruszył z tysiącem Kozaków w pogoń za umykającym przeciwnikiem. Chociaż Tatarzy wycinali jeńców opóźniających marsz i porzucali dzieci, usiłując powstrzymać tym pogoń, rotmistrz dopadł kosz na siódmym kilometrze. Odbito setki pieszego jasyru, a na przeprawie przez Bystrycę, pod Jezupolem, także jasyr prowadzony na koniach. W sumie oswobodzono tysiące ludzi, *przez trzy mile continue [ciągiem] z płaczem idących. Ci ludzie znowu na świat porodzeni, z prostoty swojej krzyżem przed nami padając dziękowali, błogosławili Boga i wybawicieli* – opowiadali świadkowie.

Rotmistrz jechał na karkach ordyńców i wycinał ich na dystansie 90 kilometrów, aż z powodu ciemności przerwał pościg gdzieś koło Chocimierza. Za ten wyczyn otrzymał urząd chorążego braclawskiego.

Dowództwo nad kresowym wojskiem sprawował Stanisław Koniecpolski. Wojennego rzemiosła uczył się od swego dowódcy i teścia Stanisława Żółkiewskiego, a z czasem młodszy i pełen energii, nawet go przewyższył. Na polu bitwy potrafili dokonywać czynów niezwykłych... lecz niekoniecznie w starciu z Tatarami. Czasem Polacy potrafili wznieść się

na wyżyny i pokonać ordyńców, ale były to pojedyncze, raczej szczęśliwe przypadki. Nie potrafiono wypracować odpowiedniej taktyki.

Tatarzy byli za szybcy i zbyt zdeterminowani. Rzeczpospolita wiecznie zaangażowana zbrojnie na wielu frontach, nigdy nie dysponowała odpowiednią liczbą żołnierzy, aby obsadzić wszystkie newralgiczne punkty.

Tatarskie wojsko zaskakiwało swą epokę. Składało się głównie z jazdy. A jeźdźców miało niezrównanych. Koni, niezbyt okazałych, ale nad wyraz wytrzymałych dosiadali stojąc w krótkich strzemionach (jak dziś dżokeje), co mniej męczyło wierzchowca i ułatwiało strzelanie z łuku. Na arkanie prowadzili luzaka, a czasem kilka, na które potrafili się przesiadać nie przerywając jazdy. Zazwyczaj przemieszczali się bez taborów, najwyżej z jukami na koniach. Nie potrzebowali rozbijać obozowiska na posiłek – umieszczali kawałek zawiniętej w szmatkę koniny na końskim grzbiecie, pod siodłem; po paru godzinach jazdy mięso stawało się kruche i nadawało się do spożycia. Co godzinę robili przerwę dla załapania oddechu przez ludzi i rumaki. Nigdy nie było wiadomo, którym szlakiem pójdą. I jakże takich doścignąć? Z przodu poruszali się szeroką, badającą teren ławą, a za nią podążała długa kolumna. Ze względu na szyk i liczbę prowadzonych koni trudno było policzyć ilu ich jest. Żyjąc blisko natury doskonale czytali ślady i pozyskiwali informacje o ruchach przeciwnika.

W bezpośrednim starciu wręcz z polską jazdą przegrywali, bali się broni palnej, więc przyjmowali bitwę tylko, gdy mieli wielokrotną przewagę lub bronili łupu czy jasyru. W innych przypadkach stosowali taktykę ataku z zaskoczenia, pozorowanej ucieczki czy okrążania w pędzie i rażenia z łuków.

Prości ordyńcy ruszali na wojnę w zwykłych kozuchach, czasem pikowanym żupanie będącym rodzajem miękkiej zbroi, do tego dochodził futrzany kołpak lub kapuza, tylko najzasobniejsi wdziewali bechter czy juszman (zbroje kolcze z wszywanymi mniejszymi lub większymi płytkami metalu) oraz spiczasty szłom – hełm typu wschodniego. Podstawową broń stanowił łuk refleksyjny, noszony w sahadaku razem ze strzałami, bogatsi używali szabli, biedniejsi walczyli kiścieniem – czymś ciężkim (np. kulą z kolcami) przywiązany rzemieniem lub łańcuchem do krótkiej rękocyści, lub masłakiem – końską żuchwą przymocowaną do elastycznego, drewnianego trzonka. Gdy Tatarzy dopracowali swą taktykę i strategię wojennych podchodów, pewnej chwili siły zbrojne Rzeczpospolitej stały się wobec ich poczynań niemal bezradne. Lęk przed nimi czaił się wszędzie. Strach i groza wyzieraające z traw, zarośli, nocy, lasów ciągle towarzyszyły mieszkańcom Kresów. Opracowane przez historyka Maurycego Horna świadectwa ocalałych obrazują porażającą skalę zniszczeń

i wyludnienia Podola, Wołynia, Rusi Czerwonej, Kijowszczyzny, Pokucia, a nawet części Małopolski.

I nagle pojawił się człowiek potrafiący znaleźć na to lekarstwo. Zrozumiał, że aby pokonać przeciwnika trzeba poznać jego wojenne zasady i samemu umieć je wykorzystywać. Podstawę stanowiły wywiad, szybkość i zaskoczenie. Tym zbawcą był właśnie Stefan Chmielecki. Utrzymywał na żołdzie wojewody Zamoyskiego agentów, przewodników i szpiegów, rekrutowanych przeważnie z Wołochów, Greków i Poturczeńców. Mówiono o nim: *Ten pierwszy pokazał, że Tatarów można dogonić i do boju w otwartym polu onych przyniewolić. W tym wieku jeden w Polsce wslawił się był, przeciwko Tatarów bojownik [...]. Nienawidzili go w wojsku [...] ani mogąc co podobnego dokazać nad Tatarami, wymawiając się, że ordy są naród letki jak ptak, nie można go zbrojnym rycerzem dogonić, chyba śpiącego ukraść nad onym zwycięstwo.*

Chan krymski Mehmed III Gerej przez chwilę szukał z Polską *wieczystego przymierza* przeciw Turcji, lecz gdy nic z tego nie wyszło pod naciskiem sułtana szykował się już w 1625 roku do wyprawy. Król Zygmunt III Waza, choć niechętnie, pod naciskiem szlachty wysłał do Bachczysaraju *upominki*. Jednak chan stwierdził, że dostał trybut za pół roku, a chciał za trzy. Wyraźnie szukał zaczepki. Ruszył z ok. 20 tysiącami ordyńców na ziemie województwa ruskiego w styczniu 1626. Rozłożyli kosz za Tarnopolem i rozpuścili zagony na Wołyń oraz w kierunku Lwowa i Przemyśla, czyniąc niesamowite spustoszenie. Według obliczeń Horna 49% procent miast (głównie przedmieścia) i 43% wsi zostało spalonych, zrabowanych i wyludnionych. Obłowili się przy tym sownicami, bo posuwali się wzdłuż szlaków handlowych.

Co ciekawe hetman Koniecpolski wiedział o nadciągającej zawierusze i to ponoć od chanowego brata kałgi-sułtana Szahina, co stanowiło efekt sporów o władzę. Stał im na drodze z kilkoma chorągwiami pod Barem, co na nic się zdało. Zaczął więc zbierać większe siły. Ostatecznie udało mu się zgromadzić 13 tysięcy żołnierzy. Pierwszy wyruszył Chmielecki, wiodąc ze sobą 800 ludzi. Minął przeciwnika koło Tarnopola i zataił się *w dębniaku przy dolinie*, gdy orda przeszła wszedł na popas do miasta, a potem *na kosz wszystkich mężnie bez huków i krzyków zrazu uderzył, pogaństwo... srodze gromił, siekł, aż na ostatek okrzyk uczyniwszy strzelbą ręczną ich raził, tak iż sam chan z miejsca swego, gdzie spał, uciekał na błota nie ubrany*. Przyboczni gwardziści chana zorientowali się wreszcie z jak nielicznym napastnikiem mają do czynienia i odpowiedzieli ogniem. Gdy ordyńcy zaczęli szarżować w coraz większej liczbie, dosiadając koni na oklep, Chmielecki wycofał się niespiesznie, ze stratą zaledwie 10 ludzi.

Niezwłocznie ruszył za czambułami, bijąc je, zagarniając konie i uwalniając ponoć aż 6 tysięcy nieszczęśników gnanych w jasyr. Hetman z głównymi siłami był zbyt daleko, by uczynić więcej.

Konieczpolski tymczasem czekał u dniestrowego brodu, jak niegdyś pod Martynowem, chcąc zapewne pochwycić w sieć powracających i powtórzyć sukces sprzed dwóch lat. A tymczasem sprytni Tatarzy ominęli polski tabor i przeszli nocą przez rzekę nieopodal Uścia. Na brzegu pozostały tylko 4 porzucone armatki, rydwan chana ze szkatułą i listami w środku oraz parę wielbłądów i koni. Płynąca kra i mrozy zniechęcały Polaków do przeprawy, więc Tatarzy ruszyli na Śniatyń i zdołali ująć z łupami.

A hetman Konieczpolski udowodnił, że dobra propaganda jest niekiedy istotniejsza od faktów. Wysłał królowi armatki i 24 brańców z informacją o poważnym zwycięstwie. Wieść tak szybko rozniosła się po Europie, że triumfu gratulował królowi papież Urban VIII. A w rzeczywistości *victorem* w tej batalii czuć się mógł jedynie rotmistrz Chmielecki. Zygmunt III nagroził go za męstwo Taborówką, starościńskimi dobrami wydzielonymi ze starostwa białocerkiewskiego.

Konieczpolski zmuszony był wyruszyć nad Bałtyk, by z wojskiem kwarcianym zagrozić drogę królowi szwedzkiemu, Gustawowi II Adolfowi (w efekcie pobił tego wielkiego wodza pod Trzcianą w 1629). Ktoś musiał zostać na Kresach, aby jak tu zwykle bywało, małymi siłami wielkie rzeczy czynić. Hetman nie miał wątpliwości komu powierzyć komendę i mianował Chmieleckiego regimentarzem. Nominacja na samodzielnego wodza dla syna prostego szlachetki to splendor nadzwyczajny; niczym społeczny awans od pucybuta do milionera. Oprócz pozostałych wojsk kwarcianych poszły pod jego komendę chorągwie nadworne Lubomirskich, Konieczpolskich, Ostrogskich.

Chmieleckiego i Konieczpolskiego łączyło wiele, ale i nie mało dzieliło. Obaj znakomicie dowodzili formacjami jazdy. Hetman jednak szkolony według tradycyjnych dla polskiej sztuki wojennej założeń taktycznych, nie łatwo zmieniał zasady, zaś regimentarz pilnie podpatrując nieprzyjaciół, uczył się nowych reguł pola walki szybko i skutecznie. Obaj nie byli rycerzami malowanymi – niedźwiedziej siły hetman świetnie władał łukiem, a po Ceorze do końca nie opuścił hetmana Żółkiewskiego ochraniając go z szablą w dłoni; Chmielecki nie raz ruszał do boju w pierwszym szeregu. Jeden z najbogatszych polskich magnatów dbał o interesy kresowych *królewiatek*, szlachecki niegdyś chudopacholek interesował się losem prostych ludzi. Chmieleckiego kochali Kozacy, a on chętnie z nimi współdziałał, umiejętnie wykorzystując ich zalety, zaś Konieczpolskiego Zaporozcy się bali

(choć i szanowali), a on miał im za złe prowokowanie Turków i niesubordynację wobec Korony – gdy się zbuntowali stłumił powstanie Marka Żmojdy. Koniecpolski potrafił być okrutny, nakazywał palić domostwa i wypędzać rodziny buntujących się Kozaków, a że gdy się zdenerwował to się jękał, twierdzono, że *pan hetman pierwszej uderzy, niż wypowie*, Chmielecki potrafił uciekać się do podstępów, podjudzać wrogów przeciwko sobie i być bezkompromisowym w boju, lecz poza polem bitwy prezentował nader łagodną dla otoczenia naturę.

Obaj jednak uważali, że sposobem na uporanie się z Tatarami jest podbicie Krymu. Chmielecki mawiał, iż *Rzeczypospolita nigdy nie będzie w pokoju, póki na ich (Tatarów) karkach nie wjedzie za Dunaj*. Nie zasypiał przy tym gruszek w popiele i będąc świetnym mediatorem i utalentowanym dyplomata, chętnie angażował się w wewnętrzne spory wśród Tatarów, pragnąc doprowadzić do wojny domowej na Krymie i osłabienia ordy, co zapewne miało stanowić preludium do decydującego uderzenia na Chanat. Ten zagończyk z krwi i kości, któremu bezkresne stepy Dzikich Pól stały się znajome jak dom własny, z lotu ptaków i zachowań zwierzyny umiał odczytać nie tylko zapowiedź zbliżającego się czambułu, ale i określić trafnie jego liczebność oraz nawet czas, kiedy się z nim przyjdzie spotkać.

Król Szwecji atakując Polskę usilnie namawiał do przyłączenia się doń Turków, Siedmiogrodzian i Tatarów, dla dokonania wspólnego rozbioru ziem Rzeczypospolitej.

Z tureckiego nakazu na Polskę wyruszyły wybrane i połączone siły ordy krymskiej i budziackiej, w liczbie szacowanej na 15-20 tysięcy, prowadzone przez nuredina (brata chana) i dwóch synów Kantymira murzy. W końcu września 1626 r. połączyli się koło Oczakowa i niespodziewanie ruszyli Czarnym Szlakiem na ziemie województwa kijowskiego. Kosz rozłożyli pod Białą Cerkwią, zamierzając rozpuścić czambuły także na Wołyń. Chmielecki dysponował ponad trzema tysiącami wojska kwarcianego oraz prywatnych pocztów, głównie Tomasza Zamoyskiego oraz 12 armatami. Na szczęście przyszedł mu w sukurs hetman Michał Doroszeńsko z półtoratysiącem Kozaków.

Regimentarz postanowił zastosować nową taktykę. Nie czekając aż zbiorą się wszystkie czambuły, 9 października 1626 r. uderzył na kosz rozłożony na otoczonym mokradłami Katoniskim Polu. W strasznym deszczu i brodząc w błocie Polacy wdarli się do obozu i roznieśli zaskoczonych Tatarów. Od pierwszej po południu aż do zmierzchu trwała pogoń za uciekinierami. Pamiętni wcześniejszych krzywd żołnierze jeńców nie brali.

Kolejnego dnia nastąpiło drugie rozdanie: pogoń i wygniatanie nieświadomych niczego czambułów. Wielki zagon pod wodzą Buhar Sołtana i synów Kantymira pustoszący

okolice Kijowa dopadł i unicestwił pod Chwastowem (Fastowem). Do pilnowania *carskiego i kamiennego* brodu na Dnieprze postawił sprawnego partyzanta, rotmistrza Jana Bajbuzę Hrybunowicza. Kolejne przemykające czambuły wpadały wprost pod szable jego drużyny. Padło tam około tysiąca ordyńców, bo wycinano ich bez miłosierdzia. Z ocalonej garstki osiemnastu regimentarz odesłał królowi na dowód zwycięstwa. Tym razem prawdziwego. Zdobyto wodzowskie buńczuki i odbito cały jasyr, przy stratach własnych wynoszących zaledwie 40 zabitych.

Ile serc rozradowało się oswobodzeniem braci, których do 10.000 ojczyźnie i rodzinom powrócił. Drabinnemi wozami zwożono malutkie dzieci i odwożono je do Lwowa. Niektóre poznali rodzice, inne niepoznane, przyjęte zostały przez obce rodziny. Uroczystość była rzewna, do łez przejmująca, gdy ujrzano dzieci zebrane we Lwowie.

Znakomicie stawali kozaccy mołojcy pod Michałem Doroszeńką. Zaporoski hetman też posłał 20 jeńców Zygmuntovi III, mając nadzieję, że monarcha podniesie żołd Kozakom rejestrowym. Ukazano ich dumnie posłom na sejmie w Toruniu.

Sukces rozślawił imię Chmieleckiego w całej Rzeczypospolitej – widziano w nim obrońcę, zbawcę i bohatera. Porażka Tatarów powstrzymała ich od najazdów, tym bardziej, że na Krymie znów wybuchły zamieszki. Dwa lata po swym wielkim zwycięstwie regimentarz zezwolił Kozakom podjąć interwencję w walce o władzę nad Chanatem, stając się niejako kreatorem polityki Polski wobec Krymu. Efektem były zabiegi pretendentów do chańskiego tronu o przychylność Rzeczypospolitej, dzięki czemu przez czas jakiś nie było najazdów, nie płacono haraczu i odzyskano jeńców.

Na przykładzie działań Chmieleckiego usprawni swą taktykę walki z Tatarami hetman Koniecpolski, co skutkuje spektakularnymi sukcesami (jak pobicie z Jeremim Wiśniowieckim samego Tuhaj-beja pod Ochmatowem w 1644). A jeszcze efektywniej wykorzysta te metody Jan Sobieski, udoskonalając je przy okazji.

Nikt dotąd nie potrafił tak jak Chmielecki rozprawiać się z niedościgłą, ostrożną i przebiegłą ordą, bo on pierwszy pojął, że aby tego dokonać trzeba myśleć tak jak przeciwnik. Jeńców, których brał w niewolę liczono w setkach.

Nauczył się Chmielecki wszystkich sposobów tatarskich, po tatarsku walczył z niemi, nie dawał im do Polski wkraczać, w stepach ich gonił. Latał jak wicher, po tatarsku się nosił, rzeki wpływ przepływał, był postrachem Tatarów.

Kiedy pojawiał się w jakiejś osadzie, witano go z uniżonym szacunkiem, bito w cerkiewne dzwony, a popi wychodzili mu naprzeciw z procesją. Gmin sławił go w pieśniach, a cieszył się większą popularnością niż hetmani, którzy sami przyznawali, że to Chmielecki otwiera im drogę do zwycięstw.

Jeszcze w 1629, wspomagany przez Kozaków hetmana Hryćka Czarnego, pobił Tatarów Kantymira (zabijając mu brata) pod Gniłą Lipą, biorąc 2 tysiące jeńców. Zygmunt III Waza mianował go wojewodą kijowskim, co się wiązało z zasiadaniem na senatorskim krześle.

Jak wieść wśród szlachty niosła, nie miał przyszły wojewoda nic z powszechnego u panów braci pieniactwa, żył skromnie, uczt wystawnych nie wydawał, pieniędzmi nad miarę nie szastał. Za to u Tatarów wywoływał dreszcze. W bitwach i pochodach nie oszczędzał siebie, w stepie spędzał dnie i noce, nie dbając o własne wygody. O swych podkomendnych miał staranie, więc gotowi byli skoczyć za nim w ogień, lecz gdyby któryś spróbował rabować lub ciemnić ubogich, na pewno by pożałował. A dla niego liczyła się jeno służba dla Rzeczypospolitej.

Niespodziewanie 20 lutego 1630 r. Stefan Chmielecki zakończył życie. Zmarł w Nowym Międzyborzu i to nie z powodu ran bitewnych, a choroby gardła. Pochowano go w Barze. Jego śmierć okryła żałobą Rzeczypospolitą, płakali po nim Kozacy Zaporoscy, a pieśni o sławie regimentarza przetrwały wśród pospólstwa dziesiątki lat.

*Cny Chmielecki, mężu sławny,
Jakiego czas nie miał dawny,
Niejeden wiek ni dwa minie,
A twa sława nie zaginie.*

Opowiadano o nim legendy. Pamiętano, że do prostego ludu, sam z niego poniekąd wyrosły, odnosił się z wielką łagodnością i życzliwością. *Pod te czasy nikt równie z chwały wojennej nie słynął* – pisał o wojewodzie kronikarz Paweł Piasecki.

Pomimo niebywałego jak na owe czasy awansu społecznego, nie zapoczątkował magnackiego rodu. Ożenił się z Teofilą z Chocimirskich. Warunki życia na kresach sprawiały, iż tamtejsze niewiasty nie były damulkami mdlejącymi z byle powodu. Nie obce im było

zastępowanie nieobecnych mężów i zmaganie się z trudną rzeczywistością, a nawet sięganie po broń, gdy zaszła potrzeba. Jednak pani Chmielecka wyróżniała się zdecydowanie, nawet na tym tle. Towarzyszyła mężowi w wojennych wyprawach, prowadziła spartański tryb życia, jak wierny druh przez długie tygodnie koczowała przy jego boku pod namiotem, na pogranicznych czatach czy w szykowanych na tatarskie zagony zasadzkach. Konia dosiadała niczym Kozak, strzelała z rusznicy jak rajtar, całkiem sprawnie władała szablą, wykazywała się odwagą w potrzebie. Ponoć nawet Tatarzy czuli przed nią respekt. A nazywano ją *Kresową Wilczycą*.

Wiedząc o wielkiej estymie, jaką ją mąż obdarzał, pohańcy nieraz czaili się, by ją zagarnąć w łyka. A że strzegli jej mężowscy podkomendni, a i ona sama też potrafiła za broń chwycić, to napastnicy zazwyczaj gorzko zaczętki żalowali.

Kiedy mąż wojował, ona zarządzała sprawami domowymi i gospodarczymi, potrafiąc dobrze zadbać o stan finansów i posiadane dobra. Mążonek starościami prawem dzierżył miasteczko Taborówka z dobrami, od Zamoyskich dzierżawił Krasne i Nowy Międzybórz, władał ponad 1000 dymów. Pani Teofila trzymała wszystko żelazną ręką; ze służbą postępowała szorstko i ostro, zupełnie nie po kobiecemu. Akta sądowe wspominają o wytoczonej przeciw niej sprawie o to, iż służącej w jej domu szlachetnie urodzonej Annie Walickiej w ataku wściekłości... nos obcięła.

Chmieleccy doczekali się dwóch synów, lecz Adam umarł wcześniej i dorosłości doczekał jedynie Łukasz. Gdy latorośl zakochała się w pannie Sokołowskiej, której tatuś niezbyt był mariażowi przychylny, *Wilczyca* młodą białogłową porwała i na ślubnym kobiercu z synem postawiła. Co prawda zapytała ponoć wcześniej młodkę czy jej ów młodzian wstrętnym nie jest.

Po śmierci męża zostawiono jej Taborówkę w dożywociu. Jak dotąd dobrze sobie radziła, spory sąsiedzkie zbrojnie rozstrzygając. Wkrótce wyszła za mąż za Marcina Tulibowskiego.

Łukasz Chmielecki bił się dzielnie, został rotmistrzem Jego Królewskiej Mości, lecz ojcu ni geniuszem, ni sławą nie dorównał. W bitwie pod Korsuniem dostał się do niewoli (1648), a wróciwszy w 1650 r. wkrótce umarł z ran.



Bitwa pod Cecorą, W. Piwnicki